Eldrik otworzył oko. Jedyne, które mu pozostało. Prawy oczodół, zmiażdżony uderzeniem buławy promieniował bólem. Zwyczajny człowiek nie miałby najmniejszych szans, aby przeżyć taki cios, lecz ludzkie ograniczenia nie dotykały Bogów.

Spod pogruchotanego hełmu wypływały krew i płyny ustrojowe, powoli zastygając w blasku bezlitosnego południowego słońca. Eldrik tytanicznym wysiłkiem łapał kolejne oddechy, a każdy porażał jego ciało spazmami cierpienia, gdy pozbawione powietrza, zdrętwiałe mięśnie stopniowo odzyskiwały czucie. Miał wrażenie, że galopujące szaleńczo serce wyskoczy mu z piersi okolonej w najlepszy pancerz, jaki potrafili wykuć kowale z Naatn'Gael. *Kawał cholernego złomu.* – Zdusił w myślach przekleństwo. Nawet podwójnie utwardzana przeszywanica nałożona na watowany kaftan nie złagodziła upadku z wierzchowca. Czuł, że złamał co najmniej kilka żeber, a przynajmniej jedno musiało przebić płuco.

Wyczuwał drżenie ziemi. Tętent fal uderzeniowych niosących się od końskiego galopu. Nie docierały do niego żadne dźwięki, poza niewyraźnym ledwie słyszalnym szumem przypominającym szelest liści na wietrze.

Zamrugał ocalałym okiem, a na do tej pory nieskazitelnie błękitnym niebie pojawiły się krwawe smugi. Spróbował potrząsnąć głową, co tylko wzmogło uczucie towarzyszącej mu udręki. Część stalowego nosala wbiła się głęboko w kość jarzmową zgniatając oko i wypychając przez wizurę pozostałości.

Obok upadło ciało. Ułamek chwili później dwa kolejne. Nie słyszał krzyków ani szczęku stali. Jedynie nieprzyjemne dla ucha rzężenie, gdzieś w oddali, po którym następowało kilka wyjątkowo silnych tąpnięć. Wyczuwał je stłuczonymi plecami.

Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że krew zasklepiła mu uszy a denerwujące rzężenie to pogłos wytwarzany przez zaklęcia Maginów. Echo przybierało na sile, znaczyło to, że szturm został powstrzymany i linia frontu stopniowo zaczęła się załamywać.

Musiał szybko coś zrobić inaczej jedno przypadkowe zaklęcie zakończy jego egzystencję i wyśle esencję do źródła, by wyczekiwała na zamknięcie cyklu.

Zadrżał. Przyzwyczaił się do ludzkiej skorupy. Ciało było delikatne, ale umożliwiało pełniejsze odczuwanie doznań, do których nie miał dostępu w swej pierwotnej formie. One… uzależniały.

Myśl, że musiałby na setki lat opuścić sferę materialną napawała go lękiem. Nie ginął od…

Oblizał spieczone, obrzęknięte usta. Krew miała gorzki posmak. Jednak przy świadomości, że nie pamięta momentu poprzedniej reinkarnacji, smakowała niczym najsłodsze wino z Relis. Czas nie pozostawiał złudzeń. Minęły epoki. Niektórzy Bogowie z własnej woli wybierali podróż do źródła, by pamiętać o swoich powinnościach. On jednak zatracił się w człowieczeństwie. Ludzie nadal go czcili, jednak liczba wyznawców nieustannie spadała. A wraz z nim moc, która niegdyś dorównywała samemu Praojcu.

Pakt.

W jego głowie kłębiły się wspomnienia. Słowa wypowiedziane nim zstąpili między ludzi, żeby uporządkować ich nędzne życia i zapobiec nadciągającej katastrofie. Zjednoczeni w Mocy robili co mogli, by powstrzymać ukryty w ludzkich duszach potencjał.

Lub przynajmniej jak najbardziej go ograniczyć.

Nie potrafił przypomnieć sobie treści porozumienia, które wtedy zawarli. Zobowiązali się żyć wśród ludzi i prowadzić ich ku lepszej przyszłości. Przez dziesiątki stuleci jednak wiele uległo zmianie. Społeczeństwa żyły we względnym pokoju i dostatku. Coś jednak zdołało zakłócić tę równowagę.

Przeleciało nad nim kilku kul ognistych, spopielając olbrzymie fragmenty pola bitwy. Temperatura otoczenia wzrosła jeszcze bardziej, roztapiając krew w jego uszach, wypełniając je kakofonią dźwięków. Krzyki umierających zlewały się w jedno z trzaskiem piorunów i niemającymi końca wybuchami płonącej pożogi. Szczęk oręża tonął w tej masie dźwięków. Wyczulone zmysły Eldrika potrafiły jednak bez trudu go wyodrębnić.

Nie zwiastował niczego dobrego.

Nagle odniósł wrażenie, że ktoś dotyka jego napierśnika. Przyjemny chłód przeniknął ciało, stopniowo obmywając je z lżejszych ran. Poczuł jak połamane kości i naderwane ścięgna na nowo stają się jednością. Ułamek chwili później stał już na własnych nogach. Zmordowany i wciąż z jednym okiem, którego nie można było w tak prosty sposób uzdrowić, ale jednak żywy.

Tylko jedna istota mogła go uleczyć i Eldrik miał z tego powodu ogromne poczucie wstydu. Dług wobec Ostricka zdążył wzrosnąć do niepokojąco wielkich rozmiarów. Był mu bratem, ale nienawiść i bezsilność, jaką czuł w chwilach takich jak ta, mogłaby unicestwiać narody.

Odtrącił tę myśl. *Zachowujesz się jak człowiek.* Ukryte za nią wspomnienia były zbyt niebezpieczne i świeże. Wypływające z nich implikacje mogłyby zostać uznane za afront, lub nawet za akt zdrady. Cokolwiek by go nie trapiło, musiało zaczekać.

Czas. Wierzyli, że to jedyne czego mieli pod dostatkiem. Skoro tak, dlaczego Ostrickowi ostatnio było ku wszystkiemu tak śpieszno.

Wiedział, że prędzej czy później nie wytrzyma presji kłębiących się pod jego czaszką pytań i w końcu będzie musiał wypowiedzieć je na głos. *Może po następnej bitwie.* – Pomyślał patrząc na brata obserwującego jak gasną ostatnie punkty oporu nieprzyjaciela.

Ostrick zgubił koronę, ale nawet mimo jej braku biły od niego godność i majestat. Długie, czarne włosy przetykane licznymi pasmami srebra, sięgały mu do barków. Wyglądał jakby dopiero niedawno przekroczył czterdziesty rok życia, tak jak Eldrik zapamiętał go podczas pierwszego spotkania w Eldoroth, gdy wyłonił się z mgły.

Oczy Wielkiego Króla miały barwę krystalicznej toni. Pełne radości i młodzieńczego zapału, rozjarzone blaskiem jutrzenki, dodawały nadziei każdemu, kto w nie spojrzał. Dzisiaj jednakże spowijał je mrok. Ostrick wdrapał się na szczyt wzgórza dławiąc ostatni punkt oporu, osobiście mordując nieprzyjacielskiego Egzarchę. Jednym precyzyjnym ciosem En'Diatha, zmiótł głowę przeciwnika z muskularnych barków. Trysnęła krew obryzgując szaty Ostricka, a bezgłowe ciało osunęło się po krawędzi zbocza ku setkom in-

nych ofiar.

W jednym momencie zapadła cisza. Ucichł szczęk oręża, krzyki rannych i umierających, zaprzestano recytowania błogosławionych psalmów ku pokrzepieniu serc i deklamowania czarnoksięskich inkantacji. Nikt nie płakał ani nie wrzeszczał z radości. Dotychczasowy rwetes zastąpił bezruch. Ci, co ocaleli, bali się nawet oddychać.

Ta nieludzka cisza… Na swój sposób przerażała go bardziej niż ogłuszający ryk panujący w epicentrum najbardziej zajadłej bitwy.

Ostrick przemaszerował obok brata, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. Wyraz jego twarzy i mętny wzrok wbity w okrwawioną ziemię niosły wystarczająco jasne przesłanie. Wygrali. Resztę należało zbyć milczeniem.

– Jeszcze jedno takie zwycięstwo i będziemy zgubieni. – Stwierdził nagle Ostrick nawet się nie zatrzymując.

Eldrik sposępniał. Znał te słowa. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć, kiedy i z czyich ust padły. Pamiętał jedynie, że było to bardzo dawno temu, być może w innym życiu. Gdy był młody, często ginął. Nie potrafił jeszcze panować nad mocami i przez nieuwagę musiał potem za to płacić. A gdy w końcu ujarzmił potęgę, reguły gry uległy zmianie. Pakt. Cholerna przysięga, której nie można spełnić. Tysiące lat niewoli.

Odwrócił się i pośpieszył za odchodzącym Ostrickiem. Król-Bóg nie czekał aż jego oddziały ulegną przegrupowaniu. Straty należało uzupełnić, ale to leżało w gestii ludzkich władców. Choć dzisiejszego dnia wielu z nich zginęło, nierzadko paskudną śmiercią, każdy miał licznych następców, gotowych zastąpić w łańcuchu dowodzenia swoich ojców.

Tylko że takie wymuszone pośpiechem zmiany rzadko kiedy wychodziły na dobre.

Minęła dłuższa chwila nim Eldrik zdołał dopędzić brata. Ostrick wsiadał właśnie na świeżego wierzchowca, by pojechać do obozu i najprawdopodobniej zapomnieć o dzisiejszym rozlewie krwi.

– Muszę o coś zapytać, bracie. – Eldrik wyrwał wodze od jednego ze stajennych,

który widząc go, pośpiesznie przyprowadził drugiego konia.

Król w końcu zaszczycił go spojrzeniem. W pierwszej chwili młodszy brat odniósł wrażenie, że rozmawia z kimś zupełnie innym. Ostrick wyglądał jakby miał zamiar się rozpłakać i tylko wciąż wypełniający go upór i żelazna wola zmusiła go do oddalenia się od największego zgrupowania ludzi.

Co by wtedy powiedzieli?

Ostrick, choć wydawało się to niemożliwe, posmutniał jeszcze bardziej, ale tylko pokiwał głową, jakby wiedział, o co chce go zapytać brat.

– Właśnie tego oczekiwałem. – Wyszeptał, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby, jakby bardzo cierpiał. Trzymający się kilka kroków z tyłu Eldrik zadrżał zdjęty strachem. Przed chwilą jego brat pojedynczymi ciosami swego młota powalał wrogów całymi tuzinami, a teraz sprawiał wrażenie jakby byle podmuch

wiatru, miał zrzucić go z siodła. – Nie możemy dłużej trzymać tego w tejemnicy. Zawiedliśmy.

Eldrik nie odpowiedział. Cóż mogły znaczyć te słowa? O jakiej tajemnicy mówił i kto jeszcze miał z tym coś wspólnego. Liczył, że jego brat wyjawi mu coś więcej, bez skutku. Ostrick nadal uparcie milczał. Po ujechaniu kilku staj, w końcu Eldrik uznał, że musi pociągnąć go za język.

– Dokąd właściwie jedziemy? – Spytał, oganiając się od coraz większej ilości krążących wokół much.

– Co? – Ostrick zamrugał wyrwany ze stuporu. Rozejrzał się, przewracając oczyma niczym szaleniec, który właśnie obudził się nagi i bez zmysłów w centrum nieznanego mu miasta. – Ach. Tak. Pamiętam. Tajemnica. I dylematy, które Cię dręczą bracie. I nie tylko ciebie, bo w gruncie rzeczy nas wszystkich. Musimy się z nimi rozprawić.

– Gdzie jedziemy? – Eldrik powtórzył pytanie. Głos drżał mu z zaniepokojenia.

– Byle dalej. – Warknął Ostrick – Byle dalej od tej zdradzieckiej bandy. Xanathar. Wiesz, że zginął dzisiejszego dnia? Umarł na moich oczach, a ja nie mogłem nic zrobić. Przez moment myślałem, że utraciliśmy i Ciebie. – Jego spojrzenie złagodniało. Przez krótką chwilę sprawiał wrażenie, jakby na powrót był sobą.

– Poczułem impuls wyzwolonej energii, ale liczyłem, że to ktoś inny. – Westchnął ze smutkiem. Zawsze podziwiał Xanathara za odwagę i nieustępliwość w walce zarówno na miecze, jak i na słowa. Myśl, że przez długi czas nie usłyszy jego ciętych żartów wypełniała mu serce pustką. – Jak myślisz, kiedy do nas powróci?

Ostrick pokręcił przecząco głową. Łzy perliły się w oczach Wielkiego Króla. Łzy wielkości diamentów inkrustowanych w jego koronie, która przepadła gdzieś na pobojowisku. Powtarzał jedynie dwa słowa, “Nie powróci”.

– Jak to nie powróci? – Dopytywał Eldrik. – Przecież odrodzi się w źródle. Minie kilkadziesiąt lat i znów będzie wśród nas. Taka jest kolej rzeczy.

– Ogień się wypalił. – Zawyrokował Ostrick. Ton jego głosu znów się zmienił, tym razem na mocny i stanowczy. Każde słowo było niczym grom zsyłany z niebios. – Koniec jest bliski, z tego świata pozostanie jedynie skorupa. Zawiedliśmy. – Machnął ręką ku horyzontowi, zakreślając okrąg. – Wiara ludzi się wyczerpuje a nasza moc blaknie. Wielu z nas zgubiło przeświadczenie, że przeznaczenia nie można zmienić. Próbowałem powstrzymać to szaleństwo, ale było już zbyt późno. Przepadło. Wszystko przepadło.

Eldrik milczał, słuchając tego wyznania. Czuł strach i litość do istoty, która niegdyś była ideałem jednoczącym ich moc ku sprawiedliwości. Poznał już dość, jego brat i Król postradał zmysły. Przypomniał sobie, że Ostrick nigdy nie poległ śmiercią męczennika. Widocznie zbyt długo przebywał w śmiertelnej powłoce. Brak bezpośredniego połączenia ze źródłem osłabił go na umyśle. *Powinienem okazać mu łaskę.* – Pomyślał. Miecz wiszący przy jego boku sprawiał wrażenie, jakby odczytywał kotłujące się pod zgruchotaną czaszką wątpliwości. Czuł narastający ciężar i rosnące pragnienie by po niego sięgnął. By zatopił go w Boskim sercu. Żądza krwi zaczynała w nim wzbierać, podczas gdy jedyne oko gorzało żywym ogniem.

Ostrick zsiadł z konia tuż obok wielkiego żelazodrzewa. Rozłożyste i mocne gałęzie pokrywały żółknące już liście z charakterystycznymi czerwonymi żyłkami. Podszedł do drzewa, obejmując gruby pień osuwając się przy tym na kolana. Odsłonił kark.

– Zróbmy to szybko. – Westchnął nie patrząc na Eldrika. Młodszy brat stał już nad nim z obnażonym mieczem ciężko oddychając. Dzierżył ostrze oburącz, mimo że miecz nie był dwuręczniakiem. Wyglądał na bardzo osłabionego, a na oszpeconej twarzy malował się wyraz ogromnego cierpienia.

Tak będzie lepiej. On i tak umiera, lepiej by zachował resztę godności, a gdy do nas wróci, odzyska zmysły. Poprowadzi nas do triumfu. To łaska...

Uniósł miecz do ciosu. Wysoko i zdecydowanie. Tak jak nauczył go Throndar. Wymierzył w odsłoniętą szyję trzęsącego się Boga. Jego najstarszy brat łkał jak dziecko, ale nie odwrócił głowy. Pogodził się z losem.

Taki ciężki… – Pomyślał, biorąc zamach. Gęsty pot spływał mu z czoła, zalewając oko, ale nie mógł sobie ulżyć, inaczej miecz wypadłby mu z dłoni.

– Wybacz mi bracie! – Ostrick zawył opętańczo, gdy jego brat w końcu zadał cios. Miecz przeciął powietrze wolno i majestatycznie opadając tam gdzie znajdowała się szyja Wielkiego Króla.

Ale Ostricka już tam nie było. Eldrik sapnął zaskoczony. Ostrze nie napotkało oporu gładko przechodząc przez korę i twarde sęki. Jeden cios powalił drzewo, które by dorosnąć do takich rozmiarów musiało żyć od przeszło dwóch tysięcy lat. Nawet siekiery wykonane z adamantu musiały być wielokrotnie ostrzone, nim zdołały zarysować twarde niczym granit łyko.

Nim zdążył się rozejrzeć, coś chwyciło go za szyję i jednym gwałtownym szarpnięciem wyrzuciło w niebo. Leciał wysoko z prędkością i trajektorią porównywalną do głazu wypuszczonego z trebusza. Miał dość czasu, by policzyć gwiazdy powoli rozbłyskujące na ciemniejącym niebie.

Dopóki nie zderzył się z przeznaczeniem. Jego upadek wstrząsnął okolicą. Na pobojowisku, oddalonym ledwie o parę kilometrów wybuchła panika w przekonaniu, że to erupcja pobliskiego wulkanu. Nim dowódcy zdołali ją opanować kilkudziesięciu ludzi, głównie rannych we wcześniejszej bitwie, uległo stratowaniu.

Leżał ponownie, tym razem na dnie głębokiego leja, który wytworzył się wraz z jego upadkiem. O dziwo, nie czuł bólu. Podłoże sprawiało wrażenie aż nazbyt miękkiego, jakby spoczywał na chmurze.

Spojrzał w niebo, szukając gwiazd, choć chwila była ku temu nieprzyzwoicie nieodpowiednia. Bez trudu wyszukał kilka konstelacji. Złodziej świecił jasno, podobnie jak Szale Sprawiedliwości, lecz to On górował nad nimi wszystkimi. Gwiazdozbiór Ostricka, Króla Bogów płonął białym złotem, w samym centrum nieboskłonu.

Coś stanęło na krawędzi krateru. A może raczej Ktoś. Ostrick. Oczy Króla odzyskały blask. Płonęły jasno. Niczym gwiazdy na firmamencie. Zsunął się płynnie po zwałach ziemi na samo dno i uklęknął obok Eldrika.

– Przepraszam. – Jedno jedyne słowo-wyrok spłynęło z jego ust. Dotknął ręką piersi pokonanego. Przez

ułamek chwili nic się nie działo.

Powoli, jedna po drugiej gwiazdy gasły na niebie. Ostatnim, co Eldrik usłyszał, nim zawłaszczył go mrok był płacz jego brata.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarnyPopis, dodano 15.01.2019 10:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.